

DANIEL ARENSON

**ZIEMIA
W OGNIU**

Tytuł oryginału
Earth Lost: Earthrise Book 2
Copyright © 2016 by Daniel Arenson
All rights reserved
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Tłumaczenie:
Marta Słońska
Redakcja:
Paweł Gryzta
Korekta:
Dariusz Marszałek
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-983-9

DANIEL ARENSON

**ZIEMIA
W OGNIU**

KSIEGA 2 SERII WSCHÓD ZIEMI

OŚWIĘCIM 2019



ROZDZIAŁ 1

Coś czai się w ciemnościach. Coś mnie śledzi.

Kara szła przed siebie ulicami Corpus City pod krwawiącym niebem. Niebo zawsze tu krwawiło; zawsze cuchnęło śmiercią. Corpus, ten niegościnnie księżyc, krążył po orbicie gazowego olbrzyma, który przesłaniał gwiazdy, pochłaniał nieboskłon, kłębił się, bulgotał i buchał oparami. Cały czerwony, pokryty smugami czerni i żółtymi plamami, wyglądał, jakby zaraz miał ją zmiażdżyć. Ilekroć Kara spoglądała w górę pomiędzy żelaznymi wieżami, kopolami rafinerii i dymiącymi kominami, zdawało jej się, że znajduje się w brzuchu jakiejś bestii, pokrytym od środka ropiejącymi wrzodami.

– Mamusiu – wyszeptał jej syn. – Mamusiu, słyszę to. Za nami. W cieniu. – Chłopiec wskazał palcem. – Widzę to.

Kara spojrzała w głąb zaułka. Wydłużone, powykrzywiane cienie majaczące pomiędzy rurami i pokrytymi sadzą ścianami rafinerii zdawały się ich obserwować.

– To tylko cienie, skarbie – powiedziała. – Tylko twoja wyobraźnia.

Ale ona też to czuła. Też to słyszała. Stukot. Brzęk. Syk ściszonego oddechu. Wiedziała, że to tylko klekot starych rur i para wydobywająca się z trzewi miasta, z kopalń wydrążonych głęboko pod powierzchnią tego świata, gdzie silniki nigdy nie przestają dudnić, a wiertła wciąż zanurzają się coraz głębiej i głębiej.

Kara wciąż szła przed siebie, trzymając dzieci za ręce. Po prawej jej syn, odważny i cichy siedmiolatek; po lewej córka, zaledwie trzyletnia, niemal zbyt mała, by za nimi nadażyć; a w brzuchu jej trzecie dziecko, wciąż tak maleńkie, wywołujące w niej mdłości i poczucie winy. Jak mogła sprowadzać kolejne niemowlę na ten świat, na Corpus, tę nędzną kolonię górniczą oddaloną o tak wiele lat świetlnych od Ziemi? Jak mogła skazywać je na życie w świecie, gdzie niebo krwawi, każdy kąt spowijają cienie i nigdy nie widać gwiazd ani słońca?

Kara nie chciała się tu przeprowadzać. Tęskniła za Ziemią. Ledwie pamiętała drzewa, fale i błękitne niebo, ale i tak tęskniła. Sprowadził ich tu jej mąż, górnik. Był twardym człowiekiem, przytłoczonym wspomnieniami ubóstwa i przekonany, że jego zachłanność ma się przysłużyć wyłącznie jego rodzinie, nigdy jemu samemu. Wierzył, że jeśli tylko dokopie się dość głęboko i wydobędzie wystarczająco dużo ertytu – cennego surowca kryjącego się tu pośród mroku – wzbogacą się na tyle, aby powrócić na Ziemię i resztę swoich dni przeżyć szczęśliwie i dostatnio. Jednak Kara nie dbała o bogactwa. Mogłaby mieszkać choćby w jaskini, byle tylko móc wyjrzeć na zewnątrz i zobaczyć gwiazdy, odetchnąć powietrzem nieprzesiąkniętym smrodem spalin, przytulić się do męża, który nie byłby wysmarowany brudem i sadzą.

„A jednak przyleciałam tu razem z nim – myślała, krocząc labiryntem uliczek górniczej kolonii. – Przyleciałam, żeby nasza rodzina się nie rozpadła, ale teraz sama jestem w rozsypce”.

– Mamusiu – odezwała się jej córka. – Mamusiu, to coś się zbliża.

– Nic tam nie ma! – odparła Kara zbyt głośno, zbyt surowo.

Dziewczynka zaczęła płakać, jednak Kara nie miała odwagi się zatrzymać, aby ją pocieszyć. Szła wciąż naprzód, jeszcze szybciej, ściskając dłonie swoich dzieci, coraz bardziej zagłębiając się w miasto. Światła wokół zamigotały, po czym zgasły. Uliczne latarnie, jasno oświetlone okna, neony – wszystkie wyzionęły ducha. Świat zatonął w mroku. Gazowy olbrzym w górze przybrał intensywniejszy odcień czerwieni, roztaczając nad kolonią krwawą poświatę. Miasto zdawało się kurczyć i wyglądało, jakby szkarłatny baldachim miał lada moment je pochłonać.

– Mamusiu – zakwilił jej syn.

– To tylko znowu nie ma prądu – odparła, idąc przed siebie. – Tak, jak w zeszłym tygodniu.

Ostatnio zdawało się, że co tydzień światła na Corpusie migotały i gasły. Kara w rozmowie z mężem wspomniała, jaka to ironia losu, że górnicy wydobywający eteryt, najcenniejsze źródło energii w całym kosmosie, tak często nie mają prądu. Roześmiał się i powiedział, że szewc najczęściej chodzi bez butów. Nie będzie mu do śmiechu, kiedy Kara znów się z nim zobaczy. Zażąda, żeby opuścili Corpus, wrócili na Ziemię i zapomnieli o tym księżycu, tym kawałku skały, tym piekle, w którym światła wciąż gasną, niebo krwawi, a w cieniach przemykają jakieś stworzenia.

– Mamusiu, to coś jest za nami! – Córka mocniej ścisnęła ją za rękę. – Mamusiu, patrzy na mnie.

– Nic tam... – zaczęła Kara, odwracając się, i nagle umilkła.

Za nią, w cieniu. Para białych ślepi. Wpatrywały się w nią przez chwilę, po czym rozplynęły w ciemności.

Jakaś istota skryta w mroku.

Kara energicznie potrząsnęła głową, odpędzając od siebie wspomnienie opowieści, które górnicy opowiadali nocami swoim żonom.

Obserwują nas. Śledzą. Przyglądają się.

Wtedy, pośród cieni... Syk. Tupot. *Stuk. Stuk. Stuk.*

Kara odwróciła się i sztywnym krokiem podjęła marsz, trzymając dzieci za ręce. Szły obok w milczeniu, przyspieszając kroku. Za ich plecami wciąż słyhać było stukot i zgrzytanie, jakby wiele stóp skrobało o kamień, i ten syk. Kara nie miała odwagi się odwrócić ani puścić biegiem, aby stworzenie nie zorientowało się, że zostało zauważone.

Śledzi nas.

Nie. Bzdury! To wszystko wymyśli. Legendy. Straszne historie.

Ale Kara czuła zapach tego stworzenia. Boże, jak ono cuchnęło. To nie był smród sadzy, popiołu ani dymu, tylko organiczna woń rozkładu, przywodząca na myśl dżdżownice po deszczu i sączącą się ropę.

– Chcę do domu – wyszeptła jej córka. – Proszę.

Ale gdzie był ich dom? Kara nie umiała znaleźć drogi. Choć spędziła już trzy lata na tym odległym świecie, wciąż gubiła się w labiryncie uliczek, a w ciemności straciła wszelką zdolność orientacji. Przyspieszyła kroku, próbując odnaleźć znajomą ścieżkę albo jakiś punkt orientacyjny, ale poszarpane krawędzie budynków wszędzie wyglądały tak samo, a na ulicach nie było widać żywej duszy. Miasto liczyło sobie dwadzieścia tysięcy mieszkańców, ale ci przemykali tylko w oddali jak cienie, otuleni płaszczami, i kryli się w domach, czekając, aż wróci prąd, a z nim ciepło i światło. Muzyka. Elektroniczne urządzenia, pozwalające zająć czymś myśli. Kolory i dźwięki, które pomagały stłumić strach.

Kara zaczęła biec. Stukot za nią przybrał na sile, a potem zobaczyła w górze ślepią – przyglądały jej się z dachu, po czym znowu zniknęły. Tupanie rozbrzmiewało teraz bliżej. Nie mogła złapać tchu. Załomotała w drzwi, błagając

kryjącą się w czarnym domu osobę, kimkolwiek była, aby wpuściła ją do środka, ale jej prośby pozostały bez odpowiedzi. Pobiegła dalej, jednak znajdowała się w dzielnicy emigrantów, pracowników, którzy przybyli tu bez rodzin i obecnie wszyscy przebywali pod ziemią, kopiąc w poszukiwaniu eterytu, drażąc zbyt głęboko, budząc to, co kryło się w czeluściach.

Biegła, a stworzenie podążało za nią, skacząc od budynku do budynku niczym pasmo mroku w szkarłacie nocy. Szpony ryły metal i kamień, drapiąc je i dziurawiąc. Spojrzenie białych ślepi podążało za nią. Stwór syczał, ślinił się, wołał ją.

Chodź do mnie, Kara.

Przyjdź do mnie tak, jak przyszedł do niego.

Bądź z nami.

Bądź nami.

Daj nam.

Kara biegła ze łzami w oczach, ciągnąc za sobą dzieci, i wiedziała, że ten mroczny bóg pragnął ich, chciał ofiary, tak, jak Bóg Ziemi, który zażądał, aby złożyć mu w ofierze Izaaka na szczycie góry. Ona jednak nie wypełni woli tego pradawnego bóstwa kopalń. Oprze mu się. Ucieknie. Załomotała w kolejne drzwi, bezskutecznie błagając, aby wpuszczono ją do środka. Pobiegła w stronę mężczyzny, którego ujrzała pośród cieni, on jednak uciekł. Wokół była tylko ciemność i labirynt krętych uliczek. Nad nią zwieszały się rury, z których kapała woda – nie, krew. Niebo wciąż jak okiem sięgnąć burzyło się, zatapiając ją w krwawym wirze, a stworzenie zanosilo się śmiechem brzmiącym jak zardzewiałe wiertła z trzaskiem kruszące kamień.

Trzaski. Kamień. Ciemność.

Wszyscy byli pod ziemią. Jej mąż. Pozostali mężczyźni. Kilka innych kobiet na tyle głupich, aby tutaj przybyć. Wszyscy

przedzierali się przez mrok, z dala od nieba, w poszukiwaniu surowca, piachu, pyłu, cennych niebieskich kryształów o tysiącu nazw, skarbu, który pozwolił ludzkości wyruszyć do gwiazd. Tutaj jednak gwiazd nie było. Nigdy nie powinni byli tu przylecieć, do tego cuchnącego, żelaznego ula, w którym nocami coś wychodziło na łowy.

Pod ziemią.

Syk.

Skrobanie.

Kara...

– Mamusiu!

– Pod ziemią – wyszeptwała.

Zobaczyła przed sobą łuk bramy prowadzącej do tunelu, do kopalń, do górników, w głąb tego skalistego globu zawieszono pod krwistoczerwoną planetą. Kara wraz z dziećmi puściła się biegiem i zanurkowała w ciemność. Słyszała kroki licznych stóp podążającego za nią cienia, szpony drapiące o kamień. Syk stawał się coraz głośniejszy, smród przybierał na sile. W tunelu migotało tylko kilka rozrzuconych z rzadka lamp, napędzanych zapasowym generatorem, które mrugały i bzyczały niczym chmara owadów. W górze wiły się rury, w dole bieżyły szyny. Kara gnała przed siebie razem z dziećmi, tutaj też natrafiając na labirynt przejść, węższych, ciemniejszych, bijących chłodem. Pod ziemią było tak zimno.

– Hej! – zawołała, a jej krzyk poniósł się echem przez tunele i powrócił, drwiąc z niej, śmiejąc jej się w twarz. Odpowiedział mu tysiąc syczących głosów. Były wszędzie. Było ich tu pełno.

Kara odwróciła się gwałtownie i wtedy go zobaczyła. Stwór zbliżał się do niej tunelem, a jego długie, pokryte szponami ciało unosiło się niczym kobra gotowa do ataku. Mówił do niej w myślach.

Kara. Kara... Daj je nam... Wielb nas... Złóż je w ofierze na naszą chwałę...

Odwróciła się i pobiegła przed siebie w poszukiwaniu męża. Tunel rozgałęział się, więc wybrała odnogę na chybił trafił, potem kolejną, a wszystkie korytarze wiły się i niebawem stały się tak wąskie, że ledwie była w stanie się poruszać. Ścisnęła dłonie dzieci, które z płaczem biegły u jej boku. Zgubili się. Zmylili drogę w ciemności. Byli tu uwięzieni. To nie były ścieżki przeznaczone dla górników; musiała skręcić w złą stronę. Popeniła błąd. Nie powinna była nigdy postawić tu stopy – w tej kopalni, na tym księżycu, pośród tego koszmaru. Pałace łzy popłynęły jej po policzkach. Zawołała raz jeszcze, o pomoc, o łaskę, ale echo jej głosu odpowiedziało jedynie drwiącym śmiechem. Upadła na kolana.

Dzieci przytuliły się do niej.

Wszędzie wokół niej wznosiły się rury, maszyny i silniki. Dotarła do maszynowni, podziemnego miasta, którego kręte wieże wznosiły się ku kamiennemu sklepieniu niczym ogromne stalagmity z metalu, buchając kłębamii pary i siarki, a od bulgoczących kotłów bił niezdrowy, złoty blask. Znajdowała się w wysokiej, zagraconej hali, przypominającej grobowiec jakiegoś starożytnego władcy wydrążony we wnętrzu góry. Teraz będzie to jej grobowiec.

Stworzenie pełzło poprzez cienie, wyciągając ku niej szpony – tak wiele szponów, całe rzędy. Kara odsunęła się, tuląc do siebie zapłakane dzieci.

– Kara?

Zbliżyło się do niej światło, a wraz z nim jakiś cień.

Kara zamrugała i odetchnęła z ulgą.

– Tom!

Jej mąż podszedł bliżej, marszcząc brwi. Światło pochodziło z latarki przymocowanej do jego kasku. Szeroką twarz i szorstkie dłonie pokryte miał sadzą. Zbliżył się pośpiesznie, odganiając cienie.

Kara obejrzała się na stworzenie.

Zniknęło.

Jeszcze raz odetchnęła z ulgą.

– To tylko sen – wymamrotała. – Tylko moja wyobraźnia.

Mąż wpatrywał się w nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Kara, nic ci nie jest? Co się stało?

Wstała, a syn wyrwał się z jej uścisku i pobiegł w stronę ojca.

– Tatusiu! – Rzucił się w objęcia górnika. – Tam był potwór.

Tom uśmiechnął się i wziął chłopca w swoje silne ramiona.

– Tata już tu jest. Przegonił potwora i...

Szpon z mdlącym trzaskiem przebił pierś Toma na wylot.

Kara krzyknęła.

Chłopiec wypadł z objęć ojca, a szpony pochwyciły go i rozszarpały, zrywając mięso z kości i z trzaskiem otwierając klatkę piersiową, po czym zawlekły ojca i syna w ciemność, aby ich pożreć. W tej samej chwili wrócił prąd i silniki obudziły się do życia, brzęcząc, szczękając, buchając oparami i z chrzęstem metalu krusząc kamień.

– Tatusiu! – krzyknęła ich córka, wyciągając rękę w stronę ojca, ale Kara złapała ją, zatkała jej usta dłonią i zerwała się do biegu.

„Nie żyją. – Płakała. – Nie żyją. Nie żyją. Ale moja córka żyje. Dziecko w moim brzuchu żyje. Ja żyję. Musimy przetrwać. Musimy przetrwać”.

Podczas gdy stworzenie się pożywiało, Kara zaciągnęła córkę pomiędzy rury, za silnik, gdzie przywarła do ściany, dygocząc i szlochając. Jej syn martwy, przenikliwy chłód w sercu, jej syn wydarty, rozszarpany, jej mąż martwy,

rozcłonkowany, pożarty. Wciąż słyszała te dźwięki – rozrywane ciało, łamane kości, mlaskanie. Wciąż czuła ten smród. Obrazy wciąż raz za razem przewijały się jej przed oczami. Jej mąż. Jej syn. Martwi. Martwi. W kawałkach. Utraceni. To nie mogło się dziać naprawdę. To musiał być zły sen, jeden z tych koszmarów, w których błędziła w labiryncie, błędziła w swoim życiu, szukając wyjścia. Niedługo obudzi się we własnym łóżku, w przesiąkniętej potem pościeli, rozgrzana mimo panującego w pokoju zimna, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Niedługo obróci się i zastanie u swego boku męża, a syn wskoczy im do łóżka.

Szpony znów zachrobotają.

Słyszała, jak się zbliża, parszkając, oblizując się, mieląc językiem. Cienie tańczyły.

– Ka...ra...

Nie była pewna, czy słyszy jego głos w swojej głowie, czy stworzenie naprawdę mówi, czy to tylko wyobrażenia płata jej figle. Przyłgnęła do ściany, skryta za rurami i pracującymi silnikami. Wciąż słyszała jego oddech. Słyszała, jak węszy. Węszy za nią.

– Ka...ra...

Zbliżał się. Zbliżał. Ociekał krwią. Zobaczyła pod rurami jego odnóża, parę za parą, poruszające się w jednym rytmie; ogromna stonoga, obcy, bóg. Rozpoznała go. Nazywali je *scolopendra titania*. Nazywali je wijcami. Jeden z roju, jeden z tych, którzy pięćdziesiąt lat temu doprowadzili Ziemię do ruiny, którzy czaili się w cieniu i żądali ludzkiego mięsa na pożarcie, którzy odebrali jej męża. Odebrali jej syna.

– Mamu... – zaczęła jej córka, a stworzenie gwałtownie obróciło się w ich stronę. Kara zasłoniła dłonią usta dziewczynki, uciszając ją. Trzymała dziecko w objęciach, niemal je miażdżąc.

Stworzenie zbliżyło się i nachyliło w dół. Pod rury wsuwały się podobne do drutu czułki, macając i węsząc. Słyszała jego głos w swojej głowie.

Gdzie jesteś, Kara? Gdzie jesteś, mój słodki kawałku mięska?

Skuliła się. Córka wierciła się i rzucała, krzycząc w jej dłoń, ale Kara trzymała mocno, zatykając dziewczynce usta, aby ją uciszyć, dusząc, nie pozwalając zaczerpnąć tchu.

„Nie krzycz. Nie krzycz. Nie oddychaj. Bądź cicho. Nie płacz. Nie jęcz. Nawet nie oddychaj. Nie krzycz”.

Stworzenie zaczęło się oddalać w stronę innego silnika, a Kara zadrżała, ale nie wypuściła córki z uścisku, wciąż zasłaniając jej usta dłonią.

„Bądź cicho. Nie krzycz. Nie jęcz. Cicho, sza”.

Stworzenie oddaliło się, rozmazując za sobą krew jej syna.

Córka wierzyła, usiłując się uwolnić.

„Nie krzycz.

Bądź cicho.

Nawet nie oddychaj”.

Z wolna dziewczynka opadała z sił. Z wolna przestała się rzucać i zwiotczała, ale Kara wciąż trzymała ją mocno, zasłaniając jej usta, aby była cicho.

Stworzenie odeszło.

Wokół nich oddychała ciemność.

Znów zabrakło prądu, światła zgasły, silniki zamarły. W mrocznej otchłani migotało tylko jedno światełko – porzucona latarka jej męża, niczym samotna gwiazda na nocnym niebie.

Kara położyła córkę na ziemi, nieruchomą, cichą, złożoną w ofierze.

– Córeczko? – wyszeptała. Potrząsnęła nią. Dziewczynka leżała bez ruchu, wpatrując się w ciemność pełnym wyrzutu spojrzaniem szeroko otwartych oczu.

Kara zawyła.

Jej pełen żalu skowyt wypełnił otchłań i poniósł się echem przez kopalnię, rozbrzmiewając w ciemności, słyszalny dla każdego.

Stworzenie w jednej chwili odwróciło się i pognało w jej stronę na szponiastych odnóżach, dając susa naprzód. Potężna czarna skolopendra uniosła się przed nią. Była od niej dwa razy wyższa i miała trzydzieści sześć odnóży zakończonych ociekającymi jadem szponami. Bóg. Runęła w dół tak szybko, że Kara ledwie była w stanie dostrzec, jak się porusza. Pochwyciła jej córkę i żarłocznie wessała ciało do gardła, drżąc z rozkoszy.

Złożona w ofierze.

Uciszona.

Skowyt. Skowyt. Nie krzycz. Nawet nie oddychaj.

Kara skuliła się pod ścianą, gotowa do nich dołączyć, wypełnić brzuch bestii jak dziecko, które nosiła w sobie. Położyła dłonie na brzuchu i poczuła, jak chłopczyk kopie. Łzy popłynęły jej po policzkach.

Obcy zbliżył się i pochylił głowę nad jej nabrzmiąłym brzuchem. Jego czułki dźgnęły ją jak igły próbujące pobrać wody płodowe, a zuwaczki otwarły się i zamknęły. Stworzenie zdawało się węszyć, oddychając głęboko. Głowę miało większą niż ona, nachyloną, pozbawioną oczu, i myślało. Nieustannie myślało.

Spojrzało na nią.

Ka...ra... bę...dziesz... na...mi...

Pełznąc, okrążyło ją i zwinęło się, oplatając ją niczym pyton. Nie przebiło jej szponami. Obchodziło się z nią delikatnie. Wzięło ją w objęcia i uniosło daleko od tego miejsca cuchnącego śmiercią, w głąb labiryntu, w głąb swojego terytorium. Uniosło ją w ciemność. Uniosło ją do domu.



ROZDZIAŁ 2

Ziemia została już daleko w tyle, niewiele większa od błękitnej kulki do gry, kiedy toporna rakieta zwróciła się w stronę połyskującego srebrzyście statku kosmicznego.

– No, to ja rozumiem – stwierdziła Addy. – Statek kosmiczny z prawdziwego zdarzenia. – Skinęła głową i tupnęła w podłogę. – Nie to, co ta kupa złomu.

– No, to akurat w ogóle nie jest statek kosmiczny – odparł Marco. – Siedzimy w solarnej rakiecie transportowej klasy Y67, służącej do podróżowania w obrębie Układu Słonecznego. Zawiezie cię na Księżyc, a nawet na Marsa, ale niewiele dalej. Statek kosmiczny to dużo bardziej zaawansowany środek transportu, wyposażony w silnik warp napędzany eterytem i zdolny do pokonywania ogromnych odległości dzielących systemy gwiazdne. – Wskazał przez okno na drugą jednostkę. – Taki jak tamten.

– Nerd – rzuciła Addy.

W rakiecie siedziało pięćdziesięciu żołnierzy, jeden pluton. Kadłub był długi, a kolejne poziomy siedzeń układały się w kręgi wokół biegnącej przez środek drabiny, tworząc coś w rodzaju bardzo wąskiego i wysokiego Koloseum. Wszyscy mieli na sobie wyblakłe, oliwkowozielone mundury bojowe, a między kolanami trzymali swoje karabiny automatyczne T57. Marco większości z nich nie znał. Był to nowo sformowany pluton, złożony z żołnierzy wybranych specjalnie na misję w odległym zakątku wszechświata. Na-

zwali się Krukami – ten ptak wydał im się odpowiednim symbolem dla wyprawy w czerni kosmosu. Marco widział wokół siebie wiele surowych twarzy, jak również kilka łagodnych, a na większości z nich malował się strach. Nikt z obecnych nie wylatywał do tej pory poza orbitę okołoziemską, a teraz czekało ich starcie w głębi kosmosu, na linii frontu. Mieli zmierzyć się z wjcam, obcymi, którzy spustoszyli Ziemię.

Jednak znalazły się tu również znajome twarze i to dodawało Marco otuchy. Addy, jego najstarsza i najlepsza przyjaciółka, siedziała wyciągając przed siebie długie nogi, z butami zwisającymi nad szybem biegnącym przez środek kabiny, a blond włosy wysypywały jej się spod hełmu. Naprzeciw nich siedział Bestia, potężny osiłek ledwie mieszczący się na siedzeniu, o ramionach przypominających pnie drzew. Miejsce obok krzepkiego Rosjanina zajmował o wiele niższy i smuklejszy Elvis, nucąc po cichu jakiś przebój piosenkarza, od którego pochodziła jego ksywka. Był tu również kapral Diaz o przystojnej twarzy i pokrytym bliznami ciele, a także brodaty sierżant Singh, z głową owiniętą turbanem w kolorze wojskowej zieleni. Marco przetrwał podstawowe szkolenie razem z tymi żołnierzami, walczył z nimi ramię w ramię na afrykańskiej pustyni. To byli jego towarzysze broni, ludzie, którym powierzyłby własne życie.

Oraz jedna osoba, którą kochał.

Marco odwrócił się, aby spojrzeć na Lailani. Siedziała obok niego, najmniejsza z całego plutonu. Wyciągnęła nogi przed siebie, a mimo to sięgały niewiele dalej niż kolana Marco. Mierząca metr czterdzieści pięć wzrostu, ogolona niemal na łyso Lailani wyglądała jak mały chłopiec w męskim mundurze, a jej karabin był większy od niej. Ze wzglę-

du na nieduży wzrost nie przyjęto by jej do wojska, gdyby nie jej zaciekłość. Siedziała ze zmrużonymi oczami i zaciśniętymi ustami, i aż wrzała, gotowa do boju. Była córką nastoletniej prostytutki, dorastała grzebiąc za jedzeniem w slumsach Manili. Przez całe życie walczyła z głodem i chorobami, a teraz przyszło jej zmierzyć się z wujcami. Zdaniem Marco była najlepszym żołnierzem w plutonie.

„I nie uważam tak tylko dlatego, że ją kocham” – pomyślał. Położył jej dłoń na ramieniu.

– Wszystko w porządku, de la Rosa?

Skinęła głową.

– Nie mogę się doczekać, żeby skopać tyłki wujcom, Emery.

Marco pomyślał o zeszłej nocy, o tym, jak wślizgnęła się na jego pryczę i kochali się po ciemku, w tajemnicy – tajemnicy, którą większość ich przyjaciół już знаła. Za dnia byli kompanami, towarzyszami broni, zabójcami kosmitów. Nocą stawali się kochankami. Marco zdecydowanie wolał noce.

Kiedy rakieta podlegała bliżej do statku kosmicznego, wszyscy żołnierze zaczęli wyciągać szyje, aby spojrzeć przez iluminator. Jednostka na zewnątrz była ogromna w porównaniu z ich środkiem transportu. Pierścień paneli słonecznych obracał się niespiesznie wokół srebrzystego kadłuba niczym diabelski młyn. Kiedy Marco przyjrzał się lepiej, zauważył, że sam kadłub również wiruje, być może po to, aby generować siłę odśrodkową i tworzyć złudzenie grawitacji. Wzdłuż jego boków rozmieszczonych było kilka wież artyleryjskich, uzbrojonych w działa, a na tyłach statku otwory silnika emanowały bladoniebieskim światłem, charakterystycznym dla silników eterytowych, stworzonych do podróży międzygwiazdnych. Marco nie dostrzegł żadnych skrzydeł ani podwozia – miał przed sobą

statek, który nigdy nie lądował, cały czas spędzając w kosmosie. Wraz z obrotem kadłuba oczom żołnierzy ukazały się złociste litery: OSOL *Miyari*.

Addy wskazała złotą płytę przymocowaną do burty.

– Ooo, statek imprezowy!

Kilkoro żołnierzy z plutonu zaczęło chichotać i wymieniać kuksańce. Na tablicy znajdowali się ogromnych rozmiarów kobieta i mężczyzna, oboje całkiem nadzy. Mężczyzna unosił rękę w geście powitania.

– Kochaj mnie czule¹ – wyszeptał Elvis z zachwytem, wyglądając przez iluminator.

– Nie będę zdejmować ubrań – wyburczał Bestia. – W Rosji walczymy w mundurach.

Marco westchnął.

– Co wy, nie poznajecie Płytki Pioneera? – Odpowiedziały mu tylko puste spojrzenia. Jęknął. – W 1972 roku ludzkość wystrzeliła jeden z pierwszych pojazdów kosmicznych, Pioneera. Znajdowała się na nim mniejsza wersja tej tablicy. Chcieliśmy w ten sposób przedstawić się obcym, pokazać im, jak wyglądają ludzie.

– Jak wyglądają nago – stwierdziła Addy.

– Tak, Addy, nago – odparł Marco. – Jak nas Darwin stworzył. Teraz to symbol DOPK. Dowództwa Obrony Przestrzeni Kosmicznej, gdybyście tego też nie wiedzieli, ignoranci.

– Ignora-co tym razem? – zapytał Elvis, po czym znowu zaczął nucić.

Addy spojrzała na tablicę zamocowaną na kadłubie statku.

– Bogate sukinsyny. Czy to prawdziwe złoto? – Zmrużyła oczy, lustrując *Miyari* wzrokiem. – Gdzie rdza i wgniecenia? Nic nie rozumiem.

¹ Ang. „Love me tender” – tytuł piosenki Elvisa Presleya [przyp. tłum.].

Marco uśmiechnął się blade i poklepał ją po kolanie.

– Nie ma żadnej rdzy ani wgnieceń. To już nie Dowództwo Obrony Terytorialnej Ziemi. DOPK ma sto razy mniej ludzi niż my i sto razy większy budżet.

– Skurwiele – skomentowała Addy.

Marco skinął głową.

– Zaraz mamy do nich dołączyć, pamiętasz?

– *Uwielbiam* ich – stwierdziła Addy.

Właz w górze otworzył się i pięćdziesięcioro żołnierzy z plutonu zamilkło. Nieopodal włazu sierżant Singh uniósł się z miejsca i zasalutował.

– Pluton, bacność! – zagrzmiął.

Pięćdziesięcioro żołnierzy usadowionych wewnątrz podłużnego kadłuba wstało z bronią przy boku i rękami wzdłuż tułowia. Trwali w tej pozycji nieruchomo, z poważnym wyrazem twarzy. Marco odważył się zerknąć w górę na właz i z trudem powstrzymał wypływający na twarz uśmiech.

Porucznik Einav Ben-Ari schodziła po drabinie biegnącej przez środek kadłuba. Młoda oficer miała włosy związane w praktyczny kucyk i pełne powagi zielone oczy, a na ramionach dźwigała ciężar całych pokoleń. W przeciwieństwie do pozostałych szeregowych Marco miał okazję poznać porucznik Ben-Ari bliżej. Pokazała mu medale swojego przodka, który przetrwał pobyt w nazistowskim obozie koncentracyjnym i uciekł, aby dołączyć do partyzantki. Od tamtej pory każde pokolenie jej rodziny walczyło na wojnie: pradziadkowie brali udział w wyniszczających starciach na Bliskim Wschodzie, dziadek walczył w wijkami, gdy te po raz pierwszy zaatakowały Ziemię, a ojciec był pułkownikiem SOL. Teraz zaś ona, Einav Ben-Ari – młoda oficer, która ledwie przekroczyła dwadzieścia lat – dowodziła plutonem zmierzającym w głąb kosmosu.

Marco wiedział, że wielu jego towarzyszy nazywało Ben-Ari oziębłą królową śniegu, robotem, rozpieszczoną córeczką pułkownika. On jednak rozmawiał z nią kilka razy w cztery oczy, być może jako jedyny z obecnych tu żołnierzy, nie licząc sierżanta Singha, i widział jej strach, smutek, a także dobroć. Była jego dowódcą, ale też przyjaciółką.

– Spocznij – rzuciła Ben-Ari, schodząc do połowy wysokości kabiny. Pluton z powrotem usiadł na miejscach, a porucznik mówiła dalej. Jej głos rozbrzmiewał w całym kadłubie. – Niektórzy z was służą w wojsku od lat, inni zaledwie kilka miesięcy. Łączy was jedno – wszyscy nosicie zielone mundury. Jesteście żołnierzami Dowództwa Obrony Terytorialnej Ziemi.

– Tych biednych dziewięćdziesięciu dziewięciu procent – szepnęła Addy, nachylając się w stronę Marco. Uciszył ją.

– Wybrałam was osobiście – ciągnęła porucznik Ben-Ari – abyście towarzyszyli mi w kosmosie i dołączyli do DOPK. To wielki zaszczyt. Tylko najlepsi, najbystrzejsi, najtwardsi wojownicy służą w kosmosie. Wszyscy wyróżniliście się swoimi dokonaniem na Ziemi. Niektórzy z was walczyli w Forcie Dżamila, inni brali udział w Bitwie o Rzym albo w Oblężeniu Yokohamy. Jednak tutaj, w kosmosie, jesteście tak samo zieloni jak wasze mundury. Nie zaznaliście prawdziwej grozy, dopóki nie zmierzylście się z wujkami w mroku przestrzeni kosmicznej, na pierwszej linii frontu.

Marco przełknął ślinę i rozejrzał się wokoło. Walczył tylko w jednej bitwie, zabił zaledwie kilka wujców. Kapral Diaz, siedzący naprzeciwko, brał udział w walkach od ponad roku i zgładził licznych wrogów na Szlaku Appalachów. Sierżant Singh, jeszcze bardziej doświadczony weteran, spędził na wojnie już kilka lat. To byli silni mężczyźni, uzbrojeni w granaty i karabiny automatyczne. Trudno so-

bie wyobrazić, że tu, w kosmosie, pluton mógłby się okazać bezradny.

Marco powrócił myślami do bitwy w Forcie Dżamila. Wspominał wielotysięczny rój wyciów, żołnierzy ginących na piasku, urywające się nagle krzyki przyjaciół. Te obrazy wciąż go dręczyły, a była to tylko niewielka bitwa w zapomnianej wojskowej bazie szkoleniowej. Teraz zmierzali w stronę samej linii frontu. Marco wołał nie myśleć o tym, co ich tam czeka.

– Na pokładzie OSOL *Miyari* – podjęła Ben-Ari – nasz pluton będzie służył u boku kompanii Latona, pododdziału Brygady Ereb. O tej ostatniej chyba nie muszę wam opowiadać.

Marco odetchnął gwałtownie. Brygada Ereb? W całej rakiemie dało się słyszeć westchnienia i szepty.

– Ale ci z Erebu to prawie nieludzie! – powiedział ktoś. – Są chyba genetycznie modyfikowani, co nie? Tak słyszałem.

– To super wojownicy – stwierdził Bestia. – Prawie silni jak Rosjanie.

– Pani oficer, czy na pewno jesteśmy tego godni? – zapytał Elvis pokornie.

– Ja tak! – wtrąciła się Addy.

– Ja też! – dodała Lailani.

Marco nie był tak pewny siebie jak one. Podobnie jak wszyscy słyszał o Brygadzie Ereb, legendarnym oddziale bojowym. Walczyli w niemal każdej słynnej bitwie ostatniego pięćdziesięciolecia. Od czasu Katakliizmu pod ich sztandarami służyli najwięksi bohaterowie ludzkości, a ci, którzy opuszczali ich szeregi, zostawali generałami, prezesami wielkich firm, premierami. Może sierżant Singh był godzien tego zaszczytu, ale Marco i pozostali?

– *Miyari* zabierze was do Przyczółku Nightwall, stacji kosmicznej położonej na samej linii frontu – oznajmiła Ben-Ari. – Tam dostaniecie nowe mundury i przejście kolejne szkolenie, aby stać się wojownikami Dowództwa Obrony Przestrzeni Kosmicznej. W trakcie podróży macie się zachowywać jak należy. Na pokładzie *Miyari* będziecie służyć razem z wojownikami z Erebu i sprawicie, że będę z was dumna. Zaskarżycie sobie ich szacunek i udowodnicie, że wybierając was, podjęłam słuszną decyzję. Zrozumieliście?

– Tak, pani oficer! – zawołali wszyscy, ale Marco nie był tego taki pewien. Zaczynał żałować, że przyjął tę misję. Może mógł przekonać swoją porucznik, aby pozwoliła mu zostać na Ziemi i znaleźć sobie ciepłą posadkę w archiwum. Kosmos sam w sobie był dostatecznie przerażający, ale walka u boku bohaterów? Podejmowanie się najniebezpieczniejszych zadań w głębi terytorium wroga?

„Nie jestem wojownikiem – pomyślał. – Jestem tylko synem bibliotekarza”.

Zmusił się, aby wziąć głęboki wdech. Nie. Synem bibliotekarza był zupełnie inny chłopak, w innym życiu. Marco przeszedł szkolenie, brał udział w bitwie, wykazał się na wojnie. Da radę.

Kiedy wyrzwał przez iluminator, zobaczył, jak ze srebrzystego statku w stronę rakiety wysuwa się pomost. Uderzył w nią z trzaskiem, łącząc dwie jednostki.

– W porządku, żołnierze! – powiedział sierżant Singh, wstając z miejsca i unosząc się w stronę drabiny. – Ruszajcie za waszą oficer. Jeden za drugim. Macie być cicho i zachowywać się z szacunkiem, a ty, Elvis, przestań podśpiewywać.

Sierżant zszedł po drabinie na dół rakiety, gdzie otworzył drzwi prowadzące teraz na pomost. Porucznik Ben-Ari wyleciała jako pierwsza, a Singh podążył za nią. Pozosta-

łych czterdziestu ośmiu żołnierzy plutonu zeszło po drabinie i ruszyło pomostem.

Marco dryfował za Addy, posuwając się naprzód w stanie nieważkości za pomocą uchwytów zamocowanych na ścianach. Nigdy wcześniej tego nie robił; aż do tej pory nie zdarzało mu się wstać z miejsca wewnątrz rakiety. Czuł się, jakby pływał. Karabin automatyczny unosił się nad nim, przytrzymywany jedynie przez pasek. Pozostali żołnierze gubili monety, długopisy i fotografie; Marco dostrzegł nawet unoszący się w powietrzu sprośny magazyn. Westchnął, zmierzając naprzód. Gdyby ktoś z DOPK zobaczył ich w tej chwili, ten żałosny ziemski pluton zrobiły na nim marne wrażenie.

Kiedy mijali iluminator, Marco wyjrzał na zewnątrz i dostrzegł w oddali Ziemię – bladoniebieską kulkę zagubioną w przestrzeni. Był już wcześniej w kosmosie, ale tylko na niskiej orbicie. Aż trudno było uwierzyć, że cały znany mu świat, cała historia, jego rodzina, jego życie – wszystko to mieściło się na tej odległej kropce. Niebawem, gdy wejdzie na pokład *Miyari* i pomknie w stronę innego układu gwiazdowego, nawet ta błękitna kulka przypadnie w ciemności, a Słońce stanie się zaledwie jedną spośród miliarda gwiazd.

Ktoś wpadł na niego od tyłu.

– Marco, ruchy! Nie guzdraj się! – szepnęła Lailani.

Marco skinął głową i ruszył dalej naprzód. Dotarł pomostem do kolejnych drzwi i przepłynął przez nie na pokład OSOL *Miyari*, statku kosmicznego Dowództwa Obrony Przestrzeni Kosmicznej.

Grawitacja pochwyciła go natychmiast i Marco zmełł w ustach przekleństwo, gdy o mało nie upadł i nie zrobił z siebie głupek. Udało mu się złapać równowagę, ale musiał przykleknąć i na moment oprzeć się o podłogę, zanim

z powrotem stanął na nogach. Pozostałym poszło jeszcze gorzej. Niektórzy żołnierze padali na posadzkę jak kłody, po czym szybko podrywali się, czerwoni na twarzy. Marco uformował szyk razem z resztą plutonu, a Lailani, która dotarła jako ostatnia, stanęła za nim.

Gdy już przestało mu się kręcić w głowie, rozejrzał się dookoła i potrzebował całej nabytej podczas szkolenia dyscypliny, aby nie rozdziawić ust.

„O, w mordę” – pomyślał.

Wiedział, że Siły Obronne Ludzkości dzieliły się na dwie główne formacje. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent żołnierzy służyło w Dowództwie Obrony Terytorialnej Ziemi, strzegąc lądów, oceanów i przestrzeni powietrznej na swojej ojczystej planecie. Latali samolotami, jeździli czołgami, strzelali z karabinów, patrolowali morza. Zamiatali podłogi, analizowali dane, opracowywali nową broń, gotowali posiłki, budowali drogi, ginęli w bitwach. Podnieśli się z popiołów Katakizmu, aby odbudować świat. Natomiast część spośród nich, zaledwie garstka, zaciągnęła się do Dowództwa Obrony Przestrzeni Kosmicznej. Służył tu tylko jeden procent SOL, pochłaniając ponad dziewięćdziesiąt procent budżetu wojska. Rozglądając się wokoło, Marco widział, na co poszedł każdy grosz.

Na Ziemi wszystko było zardzewiałe i zdezelowane, z trzeciej lub czwartej ręki. Mundury przechodziły z jednego żołnierza na drugiego, broń była stara i często się zacięła, a czołgi skrzypiały i sypały naokoło śrubami. Nawet samoloty wojskowe patrolujące niebo były sklecone ze starych części. Jednak tutaj, w kosmosie, nie oszczędzano na niczym. Ściany były srebrzyste i błyszczące, wolne od odłóżanej farby, podłogę pokrywał wspinały dywan, a nie popękane płytki, zaś miejsce przestarzałych odbiorników radiowych zajęły monitory z ekranem dotykowym.

„Tak musiał wyglądać świat przed Katakлизmem – pomyślał Marco. – Zanim wijce wybiły większość ludzi i zniszczyły wszystko, co stworzyliśmy”.

Podczas gdy pluton wciąż starał się uporać z nagłym powrotem grawitacji, drzwi na tyłach pomieszczenia rozsunały się.

– Bacność! – zawołał sierżant Singh.

Do środka weszło troje żołnierzy z *Miyari*. Marco po raz pierwszy w życiu widział kogoś z DOPK. Mimo że zarówno ziemskie, jak i kosmiczne wojsko działało w ramach Sił Obronnych Ludzkości, ci żołnierze zdawali się należeć do zupełnie innej armii. Nie mieli nawet karabinów automatycznych – zamiast ciężkich T57 uzbrojeni byli w zgrabne karabiny plazmowe. Przypominali Marco marynarzy z czasów złotego wieku żagli, zanim parowce zajęły miejsce dawnych, wspaniałych okrętów żaglowych. Zamiast zużytych i wyblakłych oliwkowozielonych mundurów mieli na sobie eleganckie, granatowe uniformy z mosiężnymi spinkami do mankietów, zamiast beretów – czapki ze złotą odznaką nad daszkiem. Materiał był dobrej jakości, w intensywnym kolorze, a stroje ewidentnie *nowe*. Na Ziemi żołnierze, nawet oficerowie, nosili poprzecierane, używane mundury. Od czasu Katakлизmu nawet tkaniny były drogie. Marco zaczął uświadamiać sobie, na co przez te wszystkie lata szły podatki, które płaciła jego rodzina.

Nagle poczuł, że wstydzi się swojego plutonu. Ich mundury były sprane i obszarpane, buty popękane, broń stara i zużyta. Tylne kieszenie spodni Addy były podarte, odsłaniając znajdującą się w środku talię brudnych kart do gry. Na hełmie Lailani wciąż widniały słowa, które nabazgrała na nim markerem: Życie to torba pełna chujów z kiłą.

Marco westchnął.

„Wyglądamy jak zgraja zawszonych kundli obok rasowych psów z wystawy” – pomyślał.

Dwójka żołnierzy DOPK miała stopnie sierżanta sztabowego, o stopień wyżej niż Singh, o czym świadczyły trzy szewrony i półokrąg na ich rękawach. Wyglądali na bliźnięta – obaj wysocy, ciemni i ponurzy. Trzecia żołnierz była dużo niższa, za to o wiele wyższa rangą – na każdym ramieniu nosiła trzy złote belki. Była kapitanem, o stopień wyżej niż porucznik Ben-Ari. Marco przypominał sobie ze szkolenia, że porucznicy mogli dowodzić plutonami złożonymi z pięćdziesięciu żołnierzy, a kapitanowie kompaniami złożonymi z czterech plutonów. Na piersi kapitan nosiła przypinkę przedstawiającą wieniec laurowy, oznaczającą, że ukończyła prestiżową Akademię Wojskową Julius, tę samą, na której Kemi była obecnie kadetem. Marco zdał sobie sprawę, że porucznik Ben-Ari takiej nie nosiła; musiała studiować na skromniejszej uczelni.

– No no, co my tu mamy – odezwała się kapitan, mrużąc oczy. Na jej ustach tańczył uśmiezek. Wyglądała na około trzydzieści lat, miała oliwkową skórę, czarne włosy związane w ciasny kucyk i kościstą twarz o ostrych rysach. Nie była bardzo niska, ale niezwykle, niemal anorektycznie chuda, a wyłupiaste oczy zdawały się wychodzić jej z orbit, wręcz ociekając pogardą. Przypominała Marco znerwicowanego chihuahua w mundurze. Z trudem powstrzymał się od uśmiechu na tę niedorzeczną myśl.

Porucznik Ben-Ari zasalutowała starszej stopniem.

– Pluton Kruków zgłasza się do służby, pani oficer! – powiedziała.

Kapitan wpatrywała się w pluton wojowników z Ziemi – w ich stare, zielone mundury, wyświechtane berety i przestarzałe, poobijane karabiny. Skrzywiła się z niesma-

kiem. Marco poczuł się jak bezdomny żebrak, który przywędrował na bankiet w domu bogacza. Ogarnęła go nagła chęć, aby wygładzić mundur, ale zmusił się, aby dalej stać na baczność.

Kapitan zwróciła się do jednego ze swoich sierżantów sztabowych.

– To taką hołotę przysyłają teraz do DOPK? – zadrwiła.
– Widywałam lepiej ubrane meruwiańskie glisty.

Jeden z bliźniaków przytaknął.

– Rzeczywiście, pani oficer.

Kapitan z uśmiechem na twarzy zwróciła się z powrotem w stronę plutonu. Mówiła głośno i powoli, jakby tłumaczyła coś nierozgarniętemu dziecku.

– Nazywam się kapitan Coleen Petty! Dowodzę kompanią Latona, najlepszą w całej Brygadzie Ereb. Przez kilka następnych dni będę niestety zmuszona was niańczyć, zanim wysadzę was w jednostce integracyjnej Nightwall i będzie was miał na głowie ktoś inny. Może tam uda się zmyć z was odór Ziemi, spalić te ohydne szmaty, które macie na sobie, i zrobić z was prawdziwych żołnierzy, ale wątpię. Jeśli DOPK wykaże choć trochę rozsądku, nafaszerują was trutką na szczury i nakarmią wami wijce.

Addy nachyliła się lekko w stronę Marco.

– Hej, zdaje mi się, czy jakiś chihuahua tu ujada? – wyszeptwała.

Kapitan Petty umilkła. Jej głowa odwróciła się z taką prędkością, że Marco niemal spodziewał się, że spadnie jej z ramion. Z grymasem na twarzy dowódczyni kompanii ruszyła przed siebie, odepchnęła na bok kilkoro żołnierzy i stanęła przed nimi.

– Co powiedziałaś, żołnierzu? – zapytała, wpatrując się w Addy.

Marco aż się skulił. Obrazić sierżanta Singha lub kaprala Diaza to jedno, a rozwścieczyć oficera DOPK to drugie.

– Powiedziałaś, że nie mogę się już doczekać, żeby przyprawić wijce o niestrawność, pani oficer! – odparła Addy.

Kapitan przyglądała się wyżej od siebie Addy mrużąc oczy, po czym przeniosła wzrok na Marco, przeszywając go spojrzeniem

– Czy to prawda, żołnierzu? – zapytała. – To właśnie powiedziałaś?

– Tak, pani oficer! – odparł Marco, w duchu przeklinając Addy.

Kapitan Petty skrzywiła się.

– Nie jesteście już na Ziemi, żołnierze. Nie wiem, jak luźna dyscyplina tam panuje, ale jeśli jeszcze *raz* odezwiecie się nieproszeni tu, w kosmosie, postawię was przed sądem polowym. – Wskazała na podłogę. – A teraz padnijcie oboje i zróbcie mi tu trzydzieści pompek.

Marco i Addy wymienili spojrzenia. Mieli robić pompki jak rekruci? Żołnierzy, którzy ukończyli podstawowe szkolenie, nigdy nie karano w ten sposób. Można im było wyznaczyć dodatkową wartość, posłać do ciupy, odebrać przepustkę, a nawet zwolnić, ale pompki były karą wymierzaną rekrutom, nie wojownikom o potwierdzonych kompetencjach. To tak, jakby szefowa postawiła pracownika do kąta.

Porucznik Ben-Ari najwyraźniej myślała to samo, bo wystąpiła naprzód i zwróciła się do swojej kapitan.

– Pani oficer, ukarzę ich później. – Obrzuciła Marco i Addy srogim spojrzeniem. – Surowo.

Kapitan Petty spojrzała na nią gniewnie.

– Sprzeciwiasz się moim rozkazom, poruczniku? Też chcesz zrobić trzydzieści pompek?

Marco odetchnął gwałtownie. Już publiczne wymierzanie kary szeregowym było oburzające, ale żeby potraktować w ten sposób mianowanego oficera, i to na oczach jego podkomendnych? Marco niewiele czasu spędził w wojsku, ale wydawało się to nie do pomyślenia. Widział, jak na twarzy Ben-Ari wykwitają gniewne rumieńce.

– Zaczynajcie! – rzuciła Petty, zwracając się z powrotem do Marco i Addy.

Posłusznie upadli na podłogę i wykonali pompkę.

– Liczcie na głos – dodała Petty.

– Jeden, pani oficer! Dwa, pani oficer! – Doliczyli do trzydziestu, po czym wstali, czerwoni na twarzy.

Kapitan Petty skinęła głową, uśmiechając się z zaciśniętymi ustami.

– Dobrze. Przez resztę dnia nic nie jecie. W porze posiłku weźmiecie puste tace, puste talerze i puste kubki. Jeśli ktoś zapyta dlaczego, powiecie mu, że nie zasługujecie na jedzenie. A później pozmywacie po pozostałych żołnierzach, wszystkich dwustu.

– Pani kapitan! – zaprotestowała porucznik Ben-Ari, czerwieniąc się jeszcze mocniej. – To zaprawieni w boju żołnierze. Walczyli w Forcie Dżamila. Zabili wiele wjców. Oni...

– To moje ostatnie ostrzeżenie, poruczniku – przerwała jej kapitan Petty. – Jeśli jeszcze raz sprzeciwisz mi się publicznie, staniesz przed sądem polowym tu, na *Miyari*, i w najlepszym razie zostaniesz karnie wydalona ze służby. W kosmosie załatwiamy sprawy inaczej. – Podniosła głos, aby cały pluton ją słyszał. – Część z was zabijała wjce na Ziemi. Niektórzy mogą nawet uważać się za bohaterów. Tutaj nie jesteście bohaterami! Jesteście robactwem. Dobre czasy się skończyły. Teraz należycie do DOPK. Macie być posłuszni

i walczyć jak maszyny, albo klnę się na Boga, że wylecicie stąd przez służę. – Zwróciła się do bliźniaków. – Sierżanci, zaprowadźcie ich wszystkich pod prysznic. Mają być zdezynfekowani, zanim wskoczymy w warp.

Sierżanci zasalutowali. Kapitan Petty wyszła, nie odwzajemniając salutu.

Marco zerknął na Addy, a ta zrobiła głupkowatą minę i szczerknęła cicho. Westchnął. Już tęsknił za Ziemią.



ROZDZIAŁ 3

– Ona naprawdę jest jak chihuahua – powiedziała Addy, wpatrując się ponuro w pusty talerz. – Przyznaj się, sam też tak pomyślałeś!

Marco posłał jej gniewne spojrzenie.

– Cii! Chcesz skończyć jako żarcie dla wjiców? – Zerknął na boki. – Mów ciszej.

– Czyli nie wolno czekać? – zapytała Addy.

Marco powiódł wzrokiem po sali, mając nadzieję, że nikt nie słucha. Razem z Addy siedział w mesie *Miyari*. Oboje mieli przed sobą puste talerze i kubki. Wokół nich siedzieli pozostali żołnierze z plutonu, wciąż w oliwkowozielonych mundurach, pałaszując swoje posiłki. Marco przyglądał się im z zazdrością. Żarcie tutaj bez wątpienia pachniało i wyglądało lepiej niż breja i mielonka z Fortu Dżamila: podawano owoce z puszek, chleb z masłem, syntetycznego kurczaka oraz makaron z serem. Marco aż kręciło się w głowie od apetycznych zapachów, ale dzięki Addy aż do jutra nie mógł się nimi cieszyć. Już burczało mu w brzuchu.

Rozejrzał się. Mesę wypełniali żołnierze trzech pozostałych plutonów, wszyscy w granatowych mundurach Dowództwa Obrony Przestrzeni Kosmicznej. Oni i Ziemianie siedzieli osobno, unikając wzajemnego kontaktu. Żołnierze w granacie zerkali na tych w zieleni, parszając i mruczając do siebie pod nosem.

– Szczury lądowe – wymamrotał któryś z nich.

– Pieprzone ziemniaki – dodał ktoś inny.

– Wolałabym już służyć razem z wijkami – stwierdziła kobieta po drugiej stronie sali, na tyle głośno, że było ją słyhać wszędzie. Jej przyjaciele zaśmiali się.

Addy zerwała się na nogi.

– Ach tak? – Zamierzyła się widelcem jak nożem. – Tak się składa, że ja walczyłam z wijkami twarzą w twarz, a nie tylko siedziałam na statku wciskając guziki, kiedy...

– Addy! – Marco złapał ją i pociągnął w dół. – Zamknij się!

Wzdrygając się, zerknął w stronę stołu oficerów. Siedziała tam porucznik Ben-Ari w towarzystwie kilku osób w granatowych mundurach. Na szczęście nie było wśród nich kapitan Petty – być może wolała jeść na osobności w swojej kwatery. Wszyscy przy stole odwrócili się, aby spojrzeć na Marco i Addy. Porucznik Ben-Ari pospieszyła im z pomocą, dotykając ramienia jednego z oficerów i kontynuując historię, którą właśnie opowiadała. Gdy pozostali z powrotem zwrócili się ku niej, posłała Addy ostre spojrzenie.

– Addy, naprawdę musisz się nauczyć trzymać buzię na kłódkę – stwierdził Marco.

Addy prychnęła, wciąż zaciskając w dłoni widelec.

– Bzdury. Na lodowisku ciągle pyskowaliśmy, a i tak wymiatałam.

– Nie jesteś już hokeistką, tylko żołnierzem. Żołnierzem w drodze na stację kosmiczną oddaloną o całe lata świetlne od najbliższego boiska do hokeja, gdzie staniesz się częścią DOPK.

Addy zatchnęła się.

– Nie mają boisk do hokeja?

Marco zerknął na zawieszony na ścianie ekran wyświetlający odliczanie: „2:59 do skoku w nadprzestrzeń”. Za niespełna trzy godziny silniki warp będą gotowe, a OSOL

Miyari opuści Układ Słoneczny i wystrzeli w kierunku odległych gwiazd. Wtedy Ziemia nie będzie nawet błękitną kulką widoczną przez iluminator; pochłonie ją ciemność.

– Hej, Poeto – Elvis sięgnął ponad stołem i poklepał Marco po ramieniu. – Jesteś bibliotekarzem, zgadza się?

– Byłem – odparł Marco.

Elvis skinął głową.

– To mi wystarczy. Znaczy, że jesteś mądry, co nie?

Marco wzruszył ramionami.

– W porównaniu z kim?

– O, zdecydowanie jest! – Addy objęła go i ucałowała w policzek. – Pisz książkę, wiesz. O żółwiu Beretta!

Marco westchnął.

– Karetta, Addy. Już tysiąc razy ci powtarzałem.

– Wystarczy tego, gołąbeczki. – Elvis wskazał zegar na ścianie. – Co to jest ta cała nadprzestrzeń?

Addy ryknęła śmiechem.

– Nie wiesz, co to jest nadprzestrzeń?

Elvis wzruszył ramionami i wsadził sobie do ust całe jajko na twardo, po czym przeżuł je i połknął. – Jestem muzykiem, maleńka, a nie geniuszem jak ten tu Poeta. A *ty* wiesz w ogóle, co to jest nadprzestrzeń?

Addy zjeżyła się.

– Oczywiście, że wiem! Wszyscy to wiedzą.

– W takim razie co to takiego? – zapytał Elvis. Oparł łokcie na stole i nachylił się do przodu, wpatrzony w Addy.

– No... – Addy zaczęła się wiercić na krześle. – To taka przestrzeń, która jest nad, eee, nad wszystkim. – Dała Marco silnego kuksańca pod żebra. – Ty mu powiedz, Poeto. Prostymi słowami, żeby zrozumiał.

Marco pomasaował bok.

– Ała, przestań. – Spojrzał na talerz Elvisa, gdzie spoczywały dwa pozostałe jajka obrane ze skorupki. – Podaj nam je pod stołem, to ci powiem.

Elvis wytrzeszczył oczy.

– Moje drogie jajka!

Addy wymierzyła mu pod stołem kopniaka.

– Dawaj je albo kopnę cię w inne drogie jajka.

Kiedy już zakończyli potajemny posiłek, Marco zaczął mówić.

– Widzisz, Elvis, mój chłopcze, w tej chwili OSOL *Miyari* dryfuje przez zwykłą czasoprzestrzeń.

– Czo-co znowu? – zapytał Elvis.

– Czasoprzestrzeń. – Marco poklepał blat stołu. – Czasoprzestrzeń jest trochę jak ten obrus.

– To znaczy, że jest pokryta okruciami, a Addy międli ją w zębach? – spytał Elvis.

– Dalej jestem głodna! – powiedziała Addy z ustami pełnymi płótna.

– Addy, przestań! – Marco wyrwał jej obrus, ignorując głośne protesty, i wygładził go na powierzchni stołu. – Teraz patrz. Chodzi mi o to, że czasoprzestrzeń to płaska powierzchnia. To znaczy nie, tak naprawdę wcale nie jest płaska, ale przyjmijmy na razie, że jest. Przyjmijmy też, że chcesz dolecieć z mojego talerza do solniczki. Musisz po prostu przebyć drogę z punktu A do punktu B. – Przejechał palcem po obrusie. – Ale w zwykłej przestrzeni nie jesteśmy w stanie podróżować zbyt szybko. Teoretycznie najwyższą możliwą do rozwinięcia prędkość to prędkość światła, chociaż w praktyce żaden statek kosmiczny nawet się do niej nie zbliża. Poruszanie się w obrębie zwykłej czasoprzestrzeni dobrze się sprawdza, jeśli chcemy dolecieć gdzieś w granicach Układu Słonecznego, na przykład z Ziemi na Marsa. Z dobrym

silnikiem jądrowym zajmuje to zaledwie kilka tygodni. Ale jeśli chcemy podróżować dalej, dotrzeć do innych gwiazd? Tam odległości są *ogromne*. Zwykły lot kosmiczny, choćby do najbliższej gwiazdy, potrwałoby tysiące lat.

Elvis wzdrygnął się.

– Tysiące lat z kapitan Chihuahua? Nie, dziękuję.

Addy wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Widzisz, Poeto? *Widzisz?* Ona *jest* Chihuahua i wszyscy o tym wiedzą.

Marco spojrział na nią wilkiem.

– Przestań ją tak nazywać. Pewnie ma uszy nawet pod blatem stołu. W każdym razie – uniósł obrus, składając w rękach fałdy tkaniny, tak, że solniczka znalazła się blisko talerza – nadprzestrzeń działa mniej więcej w ten sposób. Zaginamy czasoprzestrzeń i dystans między dwoma punktami się zmniejsza. Sama struktura wszechświata składa się i zwija. To znaczy... tak naprawdę to zupełnie nie tak działa. Matematyczne podstawy całego procesu mnie przerastają. Ale to najlepsza analogia, jaka mi przychodzi do głowy, chyba że ktoś chciałby mi przynieść prześcieradło.

Elvis skinął głową.

– A, rozumiem. Czyli ogromna dłoń niebiańskiego bibliotekarza wynurza się z nieboskłonu i zagina przestrzeń.

– Tak jakby – zgodził się Marco. – Tylko że tak naprawdę robi to silnik wykorzystujący eteryt.

– Eklery? – spytał Elvis.

– Ooo, lubię eklerki! – Addy oblizwała wargi. – Zjadłabym całą blachę.

– Eteryt. – Marco przewrócił oczami. – Jak to możliwe, że znasz słowo „nieboskłon”, a nie znasz słowa „eteryt”? No wiesz, najcenniejszy materiał we wszechświecie, wydobywany w koloniach?

– Możesz mi kiedyś kupić pierścionek z kryształem eterytu – stwierdziła Addy. – Tłukąc wrogów będę zaginać czasoprzestrzeń.

Marco strzepnął jej z koszuli kilka okruchów żółtka.

– Nie kupiłbym ci nawet pierścionka z kryształem górskim. W każdym razie, silniki eterytowe potrzebują trochę czasu, żeby się rozgrzać. To dlatego zegar wciąż odlicza czas pozostały do ich odpalenia. Jak już wszystko będzie gotowe, zrobi się dziwnie. Sam wszechświat zawinie się wokół nas i popędzimy w kierunku granicy. Nie będziemy się poruszać szybciej niż normalnie, ale zagniemy czasoprzestrzeń, znacznie zmniejszając dystans. Nie łamie to żadnych praw fizyki. W pewnym sensie po prostu polecimy na skróty.

Wszyscy przy stole – cała drużyna licząca sobie piętnastu żołnierzy – zamilkli na dłuższą chwilę, nawet Addy. Marco wiedział, o czym myślą. Granica. Linia frontu. Co ich tam czeka? Na Ziemi żołnierze niewiele słyszeli o bitwach rozgrywających się w kosmosie, gdzie najlepsi z wojowników ludzkości ścierali się z wujkami. Mówiono, że we wszechświecie istnieją też inne obce cywilizacje, niektóre nastawione przyjaźnie, inne groźne i przerażające. Niemal wszystkie informacje napływające znad granicy były zastrzeżone. Marco wiedział, że kierują się do kolonii o nazwie Nightwall, ale nic ponadto. Czy czeka go tam dalsze szkolenie? A może rzuca go prosto na pole bitwy na jakiejś odludnej planecie, na ziemi niczyjej?

Rzucił okiem na zegar. Dwie i pół godziny do skoku w nadprzestrzeń. Dwie i pół godziny, zanim pozostawi za sobą nie tylko Ziemię, ale i cały Układ Słoneczny.

Marco wstał z krzesła i ruszył pomiędzy stołami – ostrożnie unikając tych, przy których siedzieli żołnierze DOPK

– w stronę okna. Wyrzał w kosmos. W oddali ledwie był w stanie dostrzec Ziemię – błękitną kropkę pośród niezliczonych gwiazd. Rakieta, która go tu przywiozła, wracała już do domu; srebrny cylinder stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż niebawem znikł z pola widzenia.

Ziemia. Tam był jego ojciec. Tam była Kemi – kobieta, którą kochał i która złamała mu serce. Całe jego życie, jego sny i wspomnienia, jego ambicje – wszystko to pozostało na niewielkiej, błękitnej kropce, która niedługo zniknie w mroku. Marco nie miał zbyt dużej wiedzy na temat DOPK, ale jedno wiedział: większość ze służących tu żołnierzy nigdy nie wracała do domu. Przycisnął dłoń do szyby.

– Żegnaj, tato – wyszeptał. – Żegnaj, Kemi.

Tak – przyszedł też czas pożegnać się z Kemi. Każde z nich poszło swoją drogą, „zerwali”. Ona wstąpiła do Akademii Wojskowej Julius, on był szeregowcem z poboru. Jej służba potrwa dekadę, jeśli nie dłużej, jego być może skończy się przedwcześnie gdzieś na granicy. A Marco odnalazł w wojsku nową miłość, Lailani – nowy promyk radości w jego życiu.

Jednak wciąż myślał o Kemi, i to dużo. O jej promiennym uśmiechu. O jej oczach, w których lśniła dobroć i inteligencja. O latach, które spędzili razem, jako chłopak i dziewczyna w mieście targanym wojną, ale też pełnym światła, śmiechu, miłości. Marco spędził zbyt wiele lat kochając ją, aby tak po prostu o niej zapomnieć, nawet teraz, kiedy w jego życiu pojawiła się Lailani. Jeszcze na Ziemi zdarzyło mu się zetknąć na krótko z Kemi podczas odbywania służby i miał nadzieję na więcej takich spotkań. Teraz jednak wiedział, że rozstają się na dobre. Przesunął dłoń po szybie, zasłaniając Ziemię. To było pożegnanie.

Marco zmarszczył brwi.

Dostrzegł coś w oddali.

Jakaś jednostka zmierzała w stronę *Miyari*.

Była mniejsza niż rakieta, która przywiozła tu Pluton Kruków. Wydawała się wręcz niewiele większa od samochodu. Kiedy się zbliżyła, zobaczył wymalowane na niej logo – złoty wieniec laurowy, symbol Akademii Wojskowej Julius. Statek zawisł przy burcie tuż obok okna, przy którym stał, a z *Miyari* ponownie wysunął się pomost, łącząc obie jednostki. W oknie niewielkiego pojazdu kosmicznego Marco dostrzegł grzywę czarnych loków i parę ciemnych oczu, które uniosły się, napotykając jego spojrzenie.

Niewiele brakowało, a przegrałby z grawitacją i upadł na podłogę.

O Boże.

Odwrócił się i pognał przed siebie.

Biegł pomiędzy stołami w mesie, zmierzając w stronę drzwi.

– Nieświeże jajko, Poeto? – zawołała za nim Addy.

– Szeregowy Emery! – rzucił sierżant Singh.

Ale Marco dalej biegł, pozostawiając za sobą mesę, w której rozbrzmiewał śmiech i żarty na temat jego problemów żołądkowych.

Wpadł do sali wejściowej, pomieszczenia, w którym po raz pierwszy spotkał kapitan Petty, akurat w porę, aby zobaczyć, jak drzwi się otwierają, a młoda kobieta wkracza na pokład *Miyari*.

Miała na sobie biały mundur kadeta ze złotą przypinką na klapie, a jej czarne loki wysypywały się spod czapki. Wciąż nosiła wisiorek w kształcie litery pi, który jej podarował. Gdy spojrzała na Marco, oczy jej zwilgotniały. Uśmiechnęła się krzywo, tak jak dawniej.

– Cześć, Marco.

– Kemi – wyszeptał.